

Rozdział 3

Zabawa w ciuciubabkę.

Zapamiętałem go z telewizji. Szczupły, w szarym ubraniu, zapadnięte policzki, sumiasty wąs, w rękę potężny długopis przypominający buławę marszałkowską. Przywódca strajku gdańskiego Lech Wałęsa. Hasło "porozumienia gdańskie" natychmiast kojarzy się z tą migawką. Reszta ginie w niepamięci. Powraca ten obraz: szary, zmęczony człowiek z długopisem.

31 sierpnia 1980 roku. Niedziela. Szczeciński strajk zakończony. Nareszcie słonecznie ciepło. Ulice pełne spacerowiczów. Kąpieliska miejskie przepelnione. Szczecinianie regenerowali siły po nie przespanych nocach i nerwowych dniach. Co przyniesie jutro? Nie, nie myśleć teraz. Odpoczywać. Wiele dni abstynencji też trzeba nadrobić. Po którymś kieliszku urasta się do roli bohatera. Teraz pokażemy komunistom! Jutro będą się nam kłaniać. Tymczasem jutro przyniesie kaca i jeszcze większe zmęczenie. Życie toczy się swoim torem.

Gdyby członek MKS Stanisław Wądołowski nie podał w sali stoczniowej numeru domowego telefonu, nie miałbym pojęcia, co dalej robić.

Jedyną wskazówką był zapis w protokole ustaleń MKS z Komisją Rządową, że komitety strajkowe przekształcają się w komisje robotnicze i w miarę potrzeby rozpisują wybory do nowych władz związkowych. W miarę potrzeby? Kto ma decydować o tej potrzebie? Mam więc zostać przewodniczącym komisji robotniczej. A jak nie dostanę urlopu i jutro wypłynę w morze na m.s. "Dęblin"? A jeśli odmówię, to mnie zwolnią. Kto mnie będzie ochraniał? Miałem pretensje do MKS, że w ferworze po zakończonym strajku, nikt nie powiedział przedstawicielom przedsiębiorstw, co należy robić w najbliższych dniach.

Tadeusz Hundert, Maciej Brzostkowski, Leszek Lemke i ja złożyliśmy wizytę Wądołowskiemu. Przyjął nas mile, z szerokim uśmiechem na zmęczonej twarzy, szczupły, z siwiejącą czupryną; jego żywe ruchy zdradzały zarówno energię, jak i pewną nerwowość. Uspakajał nas, byśmy nie przejmowali się, nie bali esbeków, dyrektorów i starych związków i czekali na zebranie informacyjne w Stoczniowym Domu Kultury "Korab". Nie przypuszczałem wtedy, że w następnych miesiącach staniemy się bliskimi współpracownikami, a zbliżone poglądy zaowocują najpierw sympatią, potem przyjaźnią.

Wróciłem do domu spokojniejszy. Jutro, rozmowa z dyrektorem. Chociaż niechętnie, musiałem przecież omówić sprawy związkowe. Przemyślałem tematy, które trzeba było poruszyć i napisałem konspekt:

„Zakres współpracy Komisji Robotniczej z Dyрекcją do momentu utworzenia Samorządnych Związków Zawodowych”: a. formalne korzystanie ze środków łączności (telex, telefony międzynarodowe, telegramy); b. z tym związana obsługa statków w portach krajowych lub na morzu; c. ksero i inne urządzenia, zapewniające informację; d. lokal i jego wyposażenie - maszyny, telefony; e. oddelegowanie pracowników do Komisji Robotniczej będących aktualnie w pracy (ład plus statki) i udzielanie pełnego urlopu okolicznościowego; f. delegacje służbowe; g. założenia dalszej współpracy z dyrekcją; h. organizowanie zebrań oraz publikacja informacji. Wniosek: o wszelkich uzgodnieniach z dyrektorem sporządzić notatkę służbową podpisaną przez zainteresowane strony.

Nie było to nic nadzwyczajnego. Pragnąłem potwierdzenia dyrekcji, że tworzący się związek będzie miał te same uprawnienia co dotychczasowy. Regulowała to zresztą ustawa o związkach zawodowych.

Moje obawy co do dobrej woli dyrektora Zygmunta Rosickiego potwierdziły się. Lokal,

maszyna do pisania, telefon - proszę bardzo. Tablice informacyjne na korytarzach, zgoda, ale żadnych zebrań w czasie pracy. Teleksy, telegramy, treść powielanych druków, podlegają cenzurze dyrekcji. I należy się zastanowić, kto ma za to płacić. Co do reszty, nie może się wypowiedzieć, brak mu kompetencji. Musi porozumieć się z dyrektorem naczelnym. Okazał się na tyle wspaniałomyślny, że przydzielił nam pomieszczenie na biuro. W innych przedsiębiorstwach, jak się później okazało, i z tym były kłopoty.

Moja deklaracja współpracy była krótka i rewolucyjna.

Komisja Robotnicza nie będzie współodpowiedzialna za zarządzanie przedsiębiorstwem. Jej zadaniem jest ochrona pracowników przed niesprawiedliwością. Dalej wyjaśniłem: - dyrektor, nowoczesny menadżer, jest osobiście odpowiedzialny za przedsiębiorstwo. Nie może być w tym przez nikogo krępowany. Zakład ma dobrze prosperować, a pracownicy dobrze zarabiać i mieć wszystko to, co im się należy, zgodnie z obowiązującymi przepisami (a te na pewno zostaną zmienione). Nie będziemy podpisywać rozdziału premii, nagród, orderów, nie będziemy podpisywać jakichkolwiek protokołów i pisemek (wystarczy Panu zapewne podpis PZPR). Nie będziemy podpisywać nic. Nie będziemy uczestniczyć w posiedzeniach, nasiadówkach, konferencjach. Nie będziemy Pana nękać. Jak będzie wszystko grało, to zapomni Pan, że istniejemy. Jednak teraz będę zapewne częstym Pana gościem, bo nagromadziło się wiele, wiele niesprawiedliwości.

Dyrektora zatkało. Związek daje mu wolną rękę. Wzmacnia nawet jego autorytet. Błysk w oczach. Niestety, szybko zgasł. Zapewne pomyślał, że ze strony PZPR takiej deklaracji nie usłyszy. Jagielski rzuca słowa na wiatr. Niedługo po nim i po związku śladu nie będzie.

Gorzki przedsmak nadchodzących trudności osłodziło uroczyste zawieszenie kartki z odręcznym napisem "Komisja Robotnicza" na drzwiach tzw. sali dejmańskiej, w budynku Polskich Linii Oceanicznych przy alei Wojska Polskiego 107.

Przyczółek zdobyty. Należy się okopać, pomyślałem. Takich szanów powstało w Polsce dziesiątki tysięcy. Teraz trzeba połączyć się w jedną silną twierdzę. Mieliśmy poparcie milionów. Niewyczerpany kapitał, chociaż nie dysponowaliśmy groszem, a kilka zakurzonych krzeseł i stolików w obszernej sali, mogło nastrajać pesymizmem.

Istnieliśmy, a ludzie wiedzieli do kogo mają przyjść, to bardzo dużo. Odzyskiwanie niepodległości nie mogło się zacząć od świetnie wyposażonych biur związkowych. Ludzie są tu najważniejsi. Od naszej inicjatywy, pomysłowości, determinacji, pracowitości, morale, będzie zależało, jak szybko utworzymy nowy związek i pokonamy wrogą nomenklaturę partyjno - administracyjną. Mój cel był jasny, zostać na lądzie, pracować dla związku. Związek to fortyfikacja. Z niej należało dokonywać wypadów, oczyszczać przedpole, a potem, przy sprzyjającej chwili, zaatakować komunistyczne linie. Po rozmowie z dyrektorem wiedziałem, że musi dojść do zderzenia. Chyba, że komunistom uda się rozsadzić związek od środka. A do tego nie dopuszczę, przynajmniej na własnym podwórku.

APELUJEMY DO WAS !!! POMAGAJCIE SWOJEJ KOMISJI ROBOCZNICZEJ !!!
 Jest nas niewiele. Pracy dużo. Szczególnie kłopoty mamy z szybkim
 przekazywaniem informacji.
 Właściciele samochodów, rowerów, motocykli i innych - ZGŁASZAJCIE SIĘ
 do nas !
 Nie mamy żadnych funduszy/pose skromnymi prywatnymi/ na benzynę,
 wyjazdy do Gdyni i inne konieczne związane z pracą w Komisji Robot.
 Zestawicie jak chcecie SOBIE pomóc i NAM - Komisji Robotniczej !

Dla przypomnienia - adres Komisji Robotniczej ES PLO -
 ALA WOJSKA POLSKIEGO 107, SZCZECIN , - sala "diamentów"
 TELEFON : 22 52 21 www. 22

Skład sekretariatu wykonany z członków Komisji Robotniczej

1. Gryka Tadeusz
2. Lemke Leszek
3. Jagielaki Krzysztof
4. Krasniński Andrzej
5. Hundert Tadeusz
6. Krasotkowski Maciej
7. Dąbrowski Jerzy
8. Piechowiak Bolesław

Skład prezydium K.S

- | | |
|------------------------|------------------|
| 1. Jagielaki Krzysztof | - przewodniczący |
| 2. Gryka Tadeusz | - wiceprzewod. |
| 3. Hundert Tadeusz | - " |

W procesach plemna M K R będą brali udział

1. Jagielaki Krzysztof
2. Gryka Tadeusz.

Zadaniem sekretariatu jest :

- a/ zbieranie list pracowników którzy wyrazili akces wstąpienia do
 Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego
 - b/ udzielenie informacji osobiście lub telefonicznie/ i tylko te
 wyłącznie osoby zostały upoważnione przez K.R do tego /
 - c/ kontakty z Dyrekcją w sprawach organizacyjnych
 - d/ stała współpraca z M K R
- Komisja Robotnicza KR, ES PLO uważa za najpilniejsze -
 usnanie przez Dyrekcję oraz Kierownictwo Polityczne naszego

SERWIS INFORMACYJNY KOMISJI ROBOCZNICZEJ PLO

Biuro naszej Komisji Robotniczej miało około stu metrów kwadratowych. Postawiliśmy tam kilka stolików, krzeseł i sfatygowaną maszynę do pisania. Sympatycy podrzucili nam kilka długopisów, trochę papieru. Postawiliśmy też skarbonkę na potrzeby organizacyjne. To było nasze wyposażenie. Tak naprawdę raczkujący związek finansowaliśmy z własnych kieszeni. Poświęciliśmy mu także nasze urlopy i wolne dni. Dzięki Bogu Tadeusz Hundert i ja mieliśmy ich sporo, inni trochę mniej, a jeszcze inni musieli wypłynąć w morze lub czekać na zaokrętowanie. Kierownik Spychalski uprzejmie zgodził się nie zatrudniać kolegów z komitetu strajkowego tak długo, jak będzie to możliwe. Tadeusz Hundert wypłynął w ostatni rejs na m.s. "Wejherowo" i miał potem pozostać na lądzie do czasu wyborów.

Międzyzakładowa Komisja Robotnicza rozpoczęła swoją działalność w niedużym mieszkaniu czynszowym na drugim piętrze, w budynku przy ulicy Nocznickiego 42, dwa kroki od dyrekcji Stoczni Warszawskiej.

Przepychnąwszy się przez mrowie ludzi, wcisnąłem się do biura składającego się z małego pokoiku, wielkości biurka, przy którym siedzieli przewodniczący i sekretarka, a także większego mieszczącego stół i kilkanaście krzeseł.

Stałem posłusznie w ogonku po mandaty na pierwsze związkowe spotkanie w Stoczniowym Domu Kultury "Korab", spotkanie, o którym wspomniał Stanisław Wądołowski.

Przez szklane drzwi przyglądałem się Przewodniczącemu, Marianowi Jurczykowi. Czy wtedy przed bramą stoczni, tak wyobrażałem sobie tego odważnego człowieka, rozsądnie i nieustępliwie kierującego strajkiem szczecińskim? Wtedy nie miał dla mnie wymiarów

"ludzkich". Skupiał w sobie przeszłych bohaterów narodowych, był więc nieokreśloną, ponadczasową postacią. Wielką i bliską sercu. Szczupły, w beżowym garniturze, ze starannie związanym krawatem, z manierami dżentelmena. Całe jego zachowanie świadczyło o poszanowaniu tego, z kim rozmawiał.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, przedstawiłem się i uścisnąłem mu dłoń:

- Jestem przewodniczącym Komisji Robotniczej Polskich Linii Oceanicznych. Pragnę wyrazić panu mój szacunek i życzyć wytrwałości. Na mnie i marynarzy może pan liczyć.

- Ach, marynarz! Marian Jurczyk podniósł się i podał mi rękę.

Duża sala widowiskowa SDK "Korab" przepelniona. Usiedliśmy z Tadeuszem Gryką na balkonowych. Rozglądałem się z ciekawością. Wyczuwało się podniecenie, dyskutowano.

Na podium za stołem prezydialnym rozpoznałem Mariana Jurczyka i Stanisława Wadołowskiego. Inni – obce twarze. Na kolanach położyłem notatnik, by dokładnie notować to, o czym będzie się tutaj rozmawiało i radziło.

Salę wypełniali przedstawiciele przedsiębiorstw ze Szczecina i Województwa. Reprezentowali tysiące ludzi gotowych wstąpić do nowego związku. Zrozumiałem, że nie jestem sam i poczułem się silniejszy.

Było to drugiego września 1980 roku, pierwsze Szczecinie zebranie Międzyzakładowej Komisji Robotniczej. I chociaż do czasu I Zjazdu było ich wiele, to pierwsze miało wymiar historyczny.

MIĘDZYZAKŁADOWA KOMISJA ROBOTNICZA
W SZCZECINIE

* 000109

D E L E G A T

OB. Józefek Mądry

Evka Jaskiewicz

PLC Szczecin

(przedsiębiorstwo)

PRZEWODNICZĄCY MKR

Marian Jurczyk

Moją uwagę zwrócił doradca MKS, Andrzej Zieliński, sygnatariusz ekspertyzy dokumentu końcowego Mieszanej Komisji Ekspertów Prawnych, powołanej przez wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego i Prezydium MKS w Szczecinie. Swobodny, dynamiczny, pewny siebie, dowcipny. Wziął na swoje barki ciężar wyjaśniania zagadnień prawnych i powstrzymania lawiny pytań z sali.

Rozważono dwie koncepcje, czy w ramach struktury związków zawodowych, branżowych, przeprowadzać nowe wybory, zmienić statut, wystąpić z CRZZ i zachować dawny majątek, czy też, zaczynać od nowa, ale stracić wszystko, co związki dotychczas posiadały. Zgodzono się dość szybko - niech czerwoni zachowają inwentarz i pieniądze, zaczynamy od zera,

ale na swoim. Wiemy, jak odbywają się manipulowane wybory. Nie, zdecydowanie nie. Mają być nowe związki.

Spośród osób siedzących za stołem prezydyjnym podniósł się szczupły mężczyzna o ascetycznej twarzy.

- Jestem Andrzej Milczanowski, radca prawny Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej. - Usłyszałem silny, dramatyczny głos z charakterystycznym "r". - Dlaczego została złamana zasada solidarności z Gdańskiem?

Zapanowała cisza. Jak piorun z jasnego nieba padło to pytanie, które i mnie nie dawało spokoju.

- Wszelkie działania w celu tworzenia związku powinny być jednolite, tak jak jednolita powinna być jego struktura w całej Polsce!

Długie, burzliwe oklaski. To znaczy, że nie tylko ja jeden miałem wątpliwości. Marian Jurczyk podniósł się z krzesła.

- Dlaczego kolega sieje niezgodę? - W głosie jego czuło silne zdenerwowanie. - Będzie jeden związek w całej Polsce.

Stanisław Wądołowski, jeden z czterech delegatów MKS Szczecin, wysłanych w czasie strajku do Gdańska, próbował wyjaśnić, że w sprawie punktu pierwszego panowała tam całkowita jednomyślność, i że w dalszym ciągu będziemy działać wspólnie. Porozumienie gdańskie, lepiej sformułowane, przyjmie się jako obowiązujące. Niestety, nie wyjaśnił, dlaczego Szczecin wcześniej zakończył strajk. Nie drażono dalej tego tematu, bo kłopoty dnia dzisiejszego wzięły górę.

Pytano dalej.

Panie Zieliński - proszę odpowiedzieć, jak dziewięćdziesiąt pięć procent wystąpi ze starych związków, to co z ich Radą Zakładową? Co z kasami zapomogowo-pożyczkowymi? Co z sanatorium? Z wczasami? Dlaczego dyrektor nie chce nam przydzielić pomieszczenia? Czy mamy osobowość prawną? Co ze statutem? Dlaczego mamy się rejestrować w CRZZ? Czy można łączyć funkcje partyjne i administracyjne ze związkowymi? Jaka wysokość składek? Dlaczego nie pozwalają nam na zebrania organizacyjne? Gdzie zgłaszać powstanie komisji robotniczych? Co z oddelegowanymi do pracy w związku? Jak traktować ludzi, którzy nie będą w związku? Jaki związek,? Branżowy? Jak ma się nazywać nowy związek?

Andrzej Zieliński cierpliwie tłumaczył, odpowiadał na pytania. Wzbudzał powszechną sympatię i zaufanie.

- Mam na swojej książeczce oszczędnościowej PKO pięć i pół miliona złotych, zebranych w czasie strajku na fundusz nowych związków. MKR nie jest instytucją prawną i nie może posiadać konta w banku. Czuję się więc milionerem.

Po spotkaniu poprosiłem tego miłego brodacza o adres, bo zapewne będę potrzebował sporo rad prawnych. Bliskie sąsiedztwo (mieszkał niedaleko mnie) i wiele cech wspólnych, jakie w sobie odnaleźliśmy, zmieniło przelotną znajomość w serdeczną zażyłość.

Przed powstającym związkiem piętrzył się mur złej woli. Administracja państwowa i aparat starych związków byli do nas wrogo nastawieni. Partia pozostawała niezauważalna, prawdopodobnie dlatego, że nie chcieliśmy mieć z nią żadnych kontaktów, Służba Bezpieczeństwa zachowywała się dyskretnie.

Rzucano nam kłody pod nogi. Każda, najdrobniejsza rzecz, prawnie nam się należąca, wymagała wielu wysiłków i silnych nerwów. Była to walka obliczona na nasze zmęczenie, zniechęcenie, uwikłanie w potyczki o gumkę do mazania, czy temperówkę do ołówków. Liczono, że damy się skanalizować, że stępią nasze siły. Powoływaliśmy się na świeżo podpisane

porozumienie, ale administracja zasłaniała się brakiem wytycznych z góry. W takiej sytuacji trzeba było zdać się tylko na siebie i pomoc społeczeństwa.

Na siebie, a więc nie spać, nie dojadać, poświęcić swój urlop, kupować benzynę, płacić za pociąg czy taksówkę, być w ciągłym ruchu, kombinować papier, drukować albo powielać informacje na lewo, uruchamiać znajomości, docierać do innych komisji robotniczych, łączyć się w grupy nie tylko w celach samoobrony ale i ataku.

Czas nie pracował dla nas. Należało jak najszybciej utworzyć dla całej Polski jeden związek.

Naczelny Dyrektor
PPDIUR "Gryf" Szczecin
Naczelny Dyrektor
P.P.Odra" w Swinoujściu
Naczelny Dyrektor
Polskie Lanie Oesaniczne w Gdyni
Naczelny Dyrektor
Polska Argluga Morska
w Szczecinie.

Komisje Robotnicze w/w Armatorów mimo zdecydowanych starań od pierwszych dni strajku aż do dzisiaj nie mogą informować statków znajdujących się poza granicami kraju o swojej działalności. W tej mierze składamy ostry protest i żądamy:

1. Korzystania z teleksów, telefonów, telegramów i innych pozostaujących w gestii przedsiębiorstw - nieodpłatnie
2. zdecydowanego i natychmiastowego podjęcia działań w celu pełnego serwisu informacyjnego Komisji Robotniczych w Głocie Matynarsa i G. Mybeka.

Jednocześnie informujemy, że jesteśmy do dzisiaj statki zgłaszają ochęć przystąpienia do strajku +
K.R. zwracają uwagę, że straty przedsiębiorstw powstałe lub z tego tytułu mogące powstać są wynikiem braku informacji i niesystematycznej i za ten stan rzeczy odpowiedzialność spada na Dyr. w/w Armatorów.
Przypominamy Dyrektorom w/w Armatorów, że podstawą prawną naszego wystąpienia jest "Prot. ustaleń w sprawie wniosków i postulatów MKR" z komisją Rządową w Szczecinie i Gdańsku".
Jednocześnie kierujemy niniejsze pismo poprzez MKR Szczecin i Gdańsk do Komisji mieszanej składającej się z przedstawicieli Rządu, robotników i władz woj. - jako skargę o niedotrzymanie ustaleń porozumienia.

Komisja Robotnicza Odra Swinoujście
" " PPDUr Gryf
" " PLO Gdańsk, Gdynia, Szczecin
" " PZM
z upoważnienia
Przewodniczący Zs Plo w Szczecinie
K. Jagielski

W informacji przesłanej na statki pisałem: „Jaka jest ogólnopolska tendencja wszystkich MKR-ów: stworzyć silne samorządne związki zawodowe, szybko, by w ogóle istniały, a dopiero później wyłonić związki branżowe, jak np. związki kolejarzy, kierowców, marynarzy, dokerów itp., które będą skonfederowane, a więc silne. Tworzenie teraz, na tym etapie związków branżowych, a potem konfederacji tych związków, jest niecelowe. Doprowadzi do chaosu i partykularyzmu. Więc, mocny samorządny związek zawodowy, a potem związki branżowe. Moim zdaniem, tak przypuszczam, będą wtedy opracowane nowe układy zbiorowe, gdzie zgłoszone przez wszystkich różne postulaty, będą musiały być uwzględnione, oczywiście w granicach realiów i rozsądku.”

Od początku byłem przeciwny tzw. rozmowom z komisjami rządowymi w sprawie zgłoszonych postulatów dotyczących podwyżki płac. Żądania materialne należało odłożyć do chwili opracowania nowych układów zbiorowych i poświęcić się działalności w zakładzie pracy, gdzie było przecież wiele do zrobienia. Rozumiałem jednak, że jako przedstawiciel małej komisji

robotniczej w oddziale Polskich Linii Oceanicznych niczego sam nie dokonam.

W centrali, w Gdyni, powstał Ogólnozakładowy Komitet Pracowniczy. Logiczne było, że w jednym przedsiębiorstwie nie mogą działać dwie odrębne komisje założycielskie. Gdybym kierował się niezdrowymi ambicjami, pozostałbym przewodniczącym mojej komisji, aż do czasu wyborów, dla samego tylko tytułu, przewodniczący!

Jedność, jeszcze raz, jedność. Napisałem więc do kolegów w Gdyni (odtwarzam sens wypowiedzi z pamięci, bo oryginału nie posiadam): „*Nie mogą istnieć dwie komisje założycielskie na terenie jednego przedsiębiorstwa. Naszym (szczecińskim) i waszym zadaniem jest założenie nowego związku i współdziałanie. **Mając na uwadze ten nadrzędny cel, rezygnuję z funkcji przewodniczącego, szczecińska Komisja Robotnicza podporządkowuje się OKP. Jednak biorąc pod uwagę interesy zakładów szczecińskich i rejestrację w tutejszym MKR, proponuje, bym został jednym z wiceprzewodniczących OKP***”

Leszek Lemke mieszkał w Gdyni, więc nie było sensu zatrzymywać go u nas. Wręczyłem mu list do OKP i oddelegowałem do centrali jako naszego przedstawiciela. Miał nas codziennie informować o sytuacji w Trójmieście.

Nie mogłem zapomnieć mu nocnych rozmów w czasie strajku, gdy wybielał partię i starał się nas odciągnąć od MKS. Nie żałowałem więc, że się go pozbyłem. Jakiś czas potem wrócił do swojej pracy w partii. Po to, jak nas informował, by śledzić przeciwnika. I na tym się skończyło. Wykonał widocznie swoje zadanie.

Wyłynął w morze T. Hundert, odszedł L. Lemke, na placu boju pozostali marynarze: Jerzy Dąbrowski i Bolesław Piechowicz, też nie na długo.

Marceli Stelmaszczuk, wtyczka SB w czasie strajku, dalej pełnił funkcję wiceprzewodniczącego w starym Związku Marynarzy. Adam Rusiecki, intendent linii zachodnio-afrykańskich, w nawale pracy zawodowej zapomniał, że jest członkiem Komisji Robotniczej. Nie przypominałem mu o tym. Zbigniew Ligierko, chyłkiem, boczkim i odszedł od nas. Wykruszali się inni "ładowcy".

Podporą naszej Komisji był Andrzej Kraśnicki, szczupły, żywy, o kędzierzawej i kruczej czuprynie, ciemnych oczach, które zza grubych szkieł okularów promieniowały ciepłem. Inteligentny, zdecydowany anty komunistą, uczciwy, koleżeński i nieprawdopodobnie pracowity. Wziął na swoje barki najtrudniejsze zadanie, informację.

Oficjalnie mogliśmy korzystać z teleksu i kopiarki, ale na każdorazową cenzurę Dyrektora nie zgadzaliśmy się. Kraśnicki angażował więc panie z biura, które w czasie godzin pracy (nielegalnie) przepisywały dostarczone przez niego teksty. Miłemu, przystojnemu, nie potrafiły odmówić. Pani odpowiedzialna za powielarnię, była też po naszej stronie i powielala w tajemnicy nasze materiały. Ryzykowała wiele, bo tzw. Referat Wojskowy, czyli komórka SB w przedsiębiorstwie rozliczał ją z każdej kartki papieru. Nie pozwalano nam także korzystać z teleksów, telefonów międzymiastowych. Chciano nas odizolować od załóg przebywających na morzu, pozbawić wszelkiej informacji, ale tablice w budynkach PLO i teczki przeznaczone dla statków, były zawsze ich pełne.

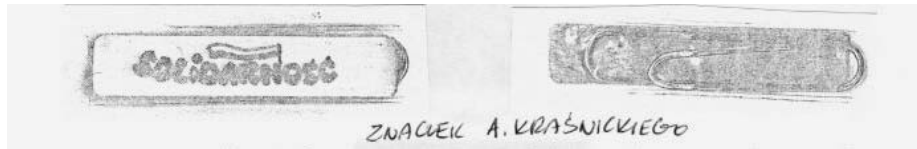
Nie ukazywała się jeszcze prasa związkowa. Dopiero później w przedsiębiorstwach skorzystano z możliwości drukowania biuletynów "do użytku wewnątrz związkowego", które nie podlegały cenzurze; póki co nie mieliśmy dostępu do drukarni.

Należało więc uruchamiać prywatne "dojścia", wymieniać spostrzeżenia, zasięgać języka w MKR. Andrzej Kraśnicki był tu niezastąpiony. Nasz serwis informacyjny szybko zyskał sobie uznanie w innych przedsiębiorstwach, odwiedzano nas codziennie i proszono o materiały. Moje sprawozdanie z posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej czytano w bardzo od nas

odległych zakładach.

Jeżeli jako tako radziłyśmy sobie informując naszych pracowników w Szczecinie i załogi statków stojących w porcie, czy w stoczni, to nie mieliśmy jednak żadnej możliwości dotarcia do marynarzy na morzu. Za każdą rozmowę telefoniczną, teleks, czy przesyłkę pocztową dyrekcja żądała opłaty. Nie mieliśmy ani grosza, a szło o dziesiątki tysięcy. Marynarze musieli więc czerpać wiadomości z nie zawsze słyszalnych audycji polskojęzycznych na Zachodzie. Zdarzało się, że jeszcze we wrześniu statki przysyłały telegramy poparcia dla Komitetu Strajkowego!

Andrzej Kraśnicki zapisał się w historii NSZZ "Solidarność" nie tylko jako pełen poświęcenia działacz, oddany bez reszty Związkowi, ale także jako twórca pierwszego (na pewno w Szczecinie, a może i w Polsce) znaczka, plakietki z napisem "Solidarność". Biały kartonik - 60 x 13 mm, czerwony napis i duży biurowy spinacz, który pozwalał przypiąć go do marynarki.



Na początku września noszenie takiego znaczka wymagało jeszcze odwagi. Była to jawna deklaracja, że jest się po stronie "Solidarności". Przypiąłem ten znaczek podczas spotkania KKP w Gdańsku, siedemnastego września. Wzbudził powszechne zainteresowanie i odniosłem wrażenie, że nikt do tej pory nie wpadł na taki pomysł.

Wyłożyliśmy listy, na jednej wypisywano się ze starego związku, a na drugiej zgłaszano akces do nowego, jeszcze bez nazwy. Serce rosło. Byłem szczęśliwy, że pracownicy przychodzą tłumnie, że stary związek rozsypuje się. Traktowałem to jak plebiscyt przeciw komunistom.

Ktoregoś dnia zjawiała się u nas starsza pani i poprosiła o anulowanie jej akcesu do nowego związku. Chciała pozostać w starym. Co się stało? Dlaczego? Nie chciała mówić, miała łzy w oczach.

- Nie, nie. Proszę mnie skreślić, machnęła ręką.

Zaczęliśmy zastanawiać się, co było powodem. Na pewno ją zastraszyli. To było pewne. Ale kto? Co jej powiedziano?

Przychodzi do nas znajoma rencistka. Utyka, jest inwalidką.

- Proszę mnie skreślić z nowego związku.

We mnie jakby piorun strzelił. Popatrzyłem na osłupiałych kolegów. To nie był przypadek. To już jakaś akcja.

- Proszę bardzo, ma pani prawo, zaraz wykreślę. Ale czy może nam pani powiedzieć, dlaczego?

Powiedziała. - Poszłam tam, do nich, na górę (Rada Zakładowa mieściła się na piętrze) i mówię panu Zbigniewowi Biernackiemu (Przewodniczącemu), żeby mnie skreślił z tego jego związku. A on, niech się pani zastanowi. Mamy sanatoria, wczasy, zapomogi, do nas należy kasa zapomogowo-pożyczkowa. Wypisze się pani, przestanie płacić składki, i nigdy nie pojedzie na leczenie, nie dostanie zasiłku. A ma pani jakąś pożyczkę z kasy? Co, trzy tysiące? Musi pani wpierw wszystko spłacić. Niech się jednak pani zastanowi. Poza tym, między nami, kto się do nich zapisuje, to wielka lipa. A kto tam rozrabia, Jagielski, ochmistrz. Po co mu związek? Willa, zagraniczny samochód, ogród, "służąca". Czy taki panią zrozumie? Biedną inwalidkę?

- Panowie, jak ja te trzy tysiące oddam? Nie mam ani grosza. Poza tym muszę od czasu do czasu jechać do sanatorium.

Zawrzała we mnie krew.

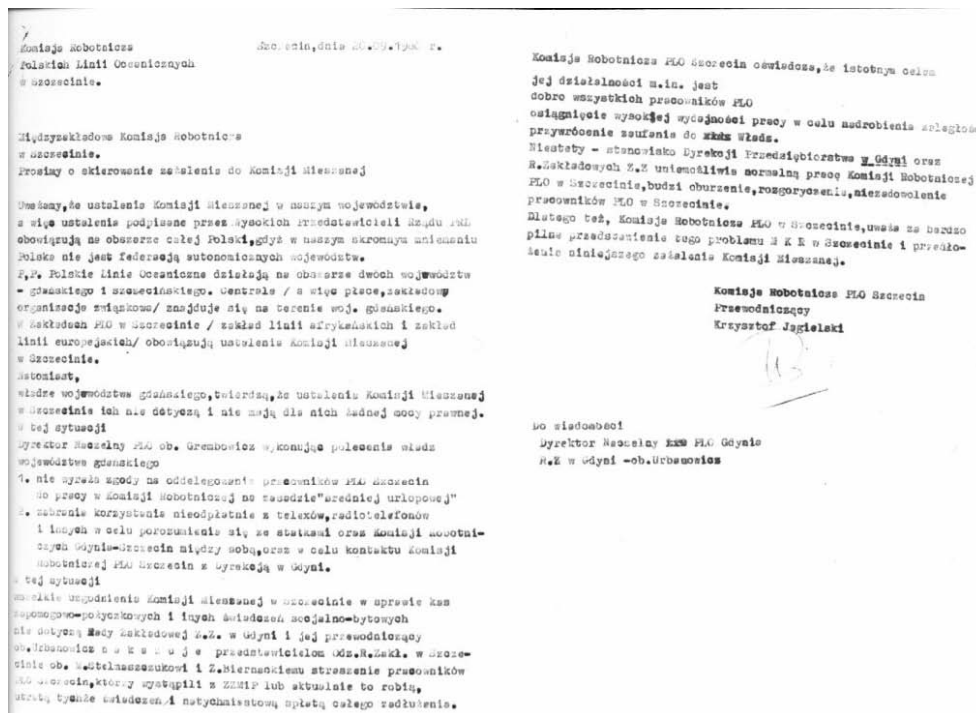
- Bolek, Jurek, Andrzej! Na górę! Trzeba to natychmiast wyjaśnić!

Zastajemy przewodniczącego Rady Zakładowej. Mam ochotę udusić go. Jak ja tego typu nie cierpię.

- Zwracam panu uwagę na niestosowne zachowanie. Zgodnie z Porozumieniem Gdańskim, rząd gwarantuje, że nowe związki nie będą przedmiotem żadnej dyskryminacji. Wiadomo, że każdy członek związku zawodowego, obojętnie jakiego, może należeć do kasy, nie traci prawa do świadczeń zakładowego funduszu socjalnego, a z chwilą wystąpienia z pana związku (umyślnie podkreśliłem "pana") tylko na okres przejściowy traci prawo do zwrotu kosztów pobytu w sanatorium. Ale i to zostanie niebawem uregulowane, bo zarówno pana związek, jak i nowy, podlegać będą tym samym przepisom ustawy o związkach zawodowych. Protestuję przeciwko wprowadzaniu w błąd ludzi, którzy chcą opuścić związek marynarzy. Nie mówię już o napaściach na mnie. Jak panu wiadomo, na terenie Szczecina działa Komisja Mieszana, czuwająca nad realizacją ustaleń strajkowych. Jeżeli powtórzą się podobne incydenty, wniosę na pana zażalenie.

Zbigniew Biernacki zachował zimną krew. Nie drgnęła mu nawet powieka.

- Znam swoje obowiązki, znam przepisy i postępuję zgodnie z poleceniem Zarządu Głównego ZZMiP. Dyskusja jest więc bezprzedmiotowa.



To był mój ostatni kontakt z rozpadającym się Związkiem. Jego funkcjonariusze tracili lukratywne posadki, kąsali więc jak mogli. Biernacki miał wysoką pensję, różne premie, nagrody, trzynastkę i dodatek dewizowy, który pobierał mimo to, że nie pływał. W każdej chwili mógł odbyć krótki rejs, by dorobić sobie przemytem.

Nasz były kolega strajkowy Marceli Stelmaszczuk i Biernacki w dalszym ciągu nas szantażowali.

Piętnastego września złożyłem w MKR protest w tej sprawie, z prośbą o skierowanie do Komisji Mieszanej.

Poza nielicznymi wyjątkami, dyrektorzy i stare związki nie stosowali się do „końcowych ustaleń”. Byli wrodzy, czynili wszystko, by przeszkodzić w zakładaniu nowych związków. Walczyliśmy o informację, o oddelegowanie do pracy związkowej, o bezpłatne środki komunikacji.

Dwudziestego września skierowałem ponownie zażalenie do Komisji Mieszanej na dyrektora naczelnego PLO Gombrowicza, na jego szczecińskich współpracowników, m. in. dyrektorów Rosickiego i Milkego, przewodniczącego Rady Zakładowej Urbanowicza.

Prawie wszyscy pracownicy lądowi i marynarze ze statków stojących w polskich portach wypisali się ze starych związków. Ponieważ nie mogliśmy zawiadomić załóg w morzu, prosiliśmy radiooficerów na statkach opuszczających polskie porty, by drogą radiową przekazywali wiadomości o wydarzeniach w przedsiębiorstwie.

Jednak ze statków będących w morzu nie nadchodziły depesze o chętnych do wstąpienia do naszego związku. Dotyczyło to nie tylko PLO, ale także PŻM i Rybaków.

Komisje Robotnicze w tych zakładach potwierdziły mi, że mają podobne problemy. Zaproponowałem, że w imieniu nas wszystkich, napiszę protest do Dyrektorów i skieruję zażalenie do Komisji Mieszanej, co oczywiście zaakceptowano.

Ósmego września doręczyłem pismo do MKR, a dwa dni później zgłosił się do mnie redaktor PAP w Szczecinie i zaproponował umieszczenie informacji w gazecie "Głos Marynarza", którą przekazywano na statki drogą radiową. Potrzebna była tylko zgoda MKR.

Cieszyłem się swoim sukcesem. Trzynastego i piętnastego września statki w morzu otrzymały pierwsze wiadomości od swoich Komisji Zakładowych. Tekst napisałem sam, trzy strony maszynopisu. Niestety, musiałem się streszczać, bo gazetkę nadawano Morsem, odbierali ją radio oficerowie, przepisywali na maszynie i wykładali w messie.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. Zostaliśmy zasypani depeszami zawiadamiającymi o występowaniu ze starego związku. Pozostało w nim zaledwie pięć procent, co wystarczyło, by stare struktury zostały utrzymane, by wymyślić nowa niespodziankę.

W prasie lokalnej, ogólnopolskiej, w telewizji, radiu trwała o nas zmowa milczenia. Zaczęto natomiast nadawać rozgłos występującym z CRZZ związkom branżowym. Miały się one usamodzielniać, zdemokratyzować, zmienić struktury. Do starych nazw dodawano "niezależny, samorządny", chociaż wszystko pozostawało bez zmian, te same władze, statuty, zasady działania. Był to oszukańczy manewr, obliczony na "zmylenie przeciwnika", wywołanie zamieszania.

Szóstego września na posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców uchwalono zwołanie nadzwyczajnego zjazdu, wystąpienie z CRZZ i przyjęcie nazwy NSZZ. Zachowano oczywiście starą strukturę personalno - organizacyjną. O nowych wyborach nie wspomniano. Wobec braku członków nadzwyczajny zjazd miał być spotkaniem kadr i reprezentować wyłącznie ich interesy. Co gorsza, ogromny majątek, nagromadzony przez czterdzieści lat, pozostawał w ich rękach. Utrzymali się oni we wszystkich przedsiębiorstwach. Patetyczny styl uchwał i proklamacji stwarzał pozory, że to właśnie oni są jedynymi reprezentantami marynarzy. Ale i tym razem społeczeństwo nie dało się nabrać.

Co było związane z komunistami, traktowano z podejrzliwością i odrzucano. Wobec dobrze przemyślanych manewrów przeciwnika, chcąc nie chcąc musieliśmy reagować. Zamiast

koncentrować się na sprawach organizacyjnych, traciliśmy czas na protestowanie.

Prawdziwą plagą były rozmowy komisji robotniczych z ministerstwami i resortami w sprawie zgłoszonych postulatów. Prosiłem, kogo znałem i do kogo mogłem dotrzeć, o opamiętanie się. A rozmowy trwały i trwały. Czas uciekał. Rozmówcy z komisji robotniczych byli jak zauroczeni - rozmawiamy z panem ministrem, dyrektorem departamentu, dyrektorem zjednoczenia! Tytuły adwersarzy jakby ich nobilitowały. Szpanowali wśród załóg, stwarzali nowy mit. Spełnianie roszczeń płacowych przemawiało do ludzi. Sumy na książeczkach oszczędnościowych rosły, "wróbel był w garści", a jakieś dodatki drożyzniane, minimum socjalne, opieka zdrowotna, zanieczyszczenie środowiska, były czymś mglistym i nie namacalnym.

Aż tu nagle bomba! Ujawniony został tajny okólnik regulujący z góry, ile każdy resort dostanie na roszczenia płacowe. Sumy te pokrywały się z ambicjami zgłaszających żądania. Wystarczyłoby więc, by rząd ogłosił podwyżkę uposażeń i byłoby po sprawie. A tak bawiono się kosztem nieświadomych negocjatorów, wikłając ich w tasiemcowe rozmowy. A czas uciekał!

Zwróciłem się do wszystkich komisji robotniczych przedsiębiorstw morskich na terenie województwa szczecińskiego z propozycją utworzenia Komisji Porozumiewawczej, która pomogłaby ujednoczyć działanie. Poprosiłem inżyniera budowy okrętów Ireneusza Chmarę z Komisji Robotniczej PŻM, pracownika inwestycji okrętowych, o zorganizowanie pierwszego spotkania na terenie jego przedsiębiorstwa.

[IRENEUSZ CHMARA zmarł 27 grudnia 1987 roku w wieku 53 lat]

Omówiliśmy wówczas cele, założenia, szczegóły organizacyjne i scenariusz zebrania. Należało podkreślić, że Komisja Porozumiewawcza będzie tylko miejscem wymiany poglądów, że będzie tylko głosem doradczym i opiniującym, a Komisje Robotnicze pozostaną niezależne i będą mogły w każdej chwili się wycofać. Należało mocno podkreślić ich tę pełną niezależność. Demokracja zaczęła powoli pożerać własne dziecko. A może smak władzy, stary jak świat zaczynał być celem samym w sobie?

Uzgodniliśmy, że przewodniczyć będzie Ireneusz Chmara, że ja zabiorę głos jako pomysłodawca.

W wyniku spotkania powstała Komisja Porozumiewawcza Przedsiębiorstw Gospodarki Morskiej Pomorza Zachodniego. Jej przewodniczącym został Jerzy Rzuczkowski z PŻM, a ja jednym z jego zastępców.

Postanowiliśmy zwrócić się do podobnych przedsiębiorstw na Wybrzeżu, żeby powołać Ogólnopolską Komisję Porozumiewawczą.

To był mój osobisty sukces. Jako zastępca mogłem wpływać na rozwój Komisji Porozumiewawczej. Jakiś czas jeszcze brałem udział w zebraniach, a gdy powstała Sekcja Krajowa Żegluga i Gospodarki Morskiej, definitywnie odszedłem. W tym czasie zostałem dokooptowany do szerokiego Prezydium MKR i uznałem, że nie należy rozpraszać sił.

Któregoś dnia wybrałem się wreszcie do Gdyni, do OKP, by poznać tych, których znałem z rozmów telefonicznych i korespondencji. Czekano już na mnie.

Witali mnie Jan Koss z Transportu Samochodowego, mój szef, Bolesław Hutyra i Sławomir Staniszewski, współ-przewodniczący oraz czarująca Magdalena Czerwonka, która częstowała kawą i nie wypadła ze swojej roli ilekroć gościłem w Gdyni. Byliśmy tutaj "sami swoi". Prym wodził szarmancki i pełen humoru Kapitan Żegluga Wielkiej, Józef Kubicki. Zjawili

się również Jerzy Zając i Mirosław Sagan, konsultanci, jak ich nazywano, pracowali w dziale prawnym przedsiębiorstwa. Wspaniali doradcy, całym sercem i duszą oddani "Solidarności". To oni współtworzyli zakładową ordynację wyborczą, byli autorami programu działania związku w PLO, pisali wszelkie protesty, uczestniczyli w rozmowach z Ministerstwem Żeglugi. Doradzali, jak poruszać się w gąszczu przepisów prawnych. Jerzy Zając, żywy jak srebro, dowcipny i Mirosław Sagan, przypominający zagubionego chłopca, stale jakby nieobecni myślami, tworzyli nierozłączną parę. Jan Koss, przewodniczący, ze względów zdrowotnych niestety opuszczał nas. Zastąpić go miał I Oficer, Bolesław Hutyra.

OKP w Gdyni, tak jak i Komisja Robotnicza w Szczecinie, niczym nie przypominały zwykłych biur. To był żywioł, wchodzili i wychodzili ludzie, którzy wypisywali się ze starych związków, dzielili się z nami swoją radością, życzyli wytrwałości i załatwiali swoje sprawy. Przez ubiegłe lata nagromadziło się tak wiele krzywd, że nie sposób było od ręki temu zaradzić. "Cierpliwości"! brzmiała najczęstsza odpowiedź. A ludzie, zarażeni powszechnym entuzjazmem, mieli tę cierpliwość.

Gdynia akceptowała w pełni szczecińską autonomię, ale mieliśmy tworzyć wspólną strukturę związkową. Podziwiano naszą doskonałą organizację. Jurek Zając żartował, że powinienem zostać u nich i wreszcie zrobić porządek. Prawdopodobnie jako jedyne przedsiębiorstwo mieliśmy swoich przedstawicieli w dwóch MKR-ach. Ale przecież spora odległość między Szczecinem a Gdynią usprawiedliwiała ten stan rzeczy, czyniła go wręcz niezbędnym.

Zresztą gdyby nie ta szczecińska autonomia, nie powstałaby pewnie ta książka. Moje życie potoczyłoby się spokojniej. I mniej ciekawie.

Podczas mojego pobytu w Gdyni spotkała mnie jeszcze jedna niespodzianka. W OKP zjawił się Andrzej Gwiazda. Ten wspaniały, odważny człowiek wyglądał jakby przed chwilą wypuszczono go z więzienia. Niedbale ubrany, twarz poorana bruzdami, zmęczony głos, mądre oczy. Zaprawiony w bojach podziemny związkowiec, teoretyk, niewiele mógł nam odpowiedzieć na nasze przyziemne pytanie, co dalej? Tak naprawdę, nikt nie wiedział.

Pod koniec września, kiedy w starych związkach pozostały już tylko niedobitki (głównie pracownicy administracji), nie sposób było dalej ignorować rosnącego w potęgę Związku. Dalsze ograniczenia i zakazy groziły wybuchem, co potwierdził godzinny strajk ostrzegawczy trzeciego października.

Ku naszemu całkowitemu zaskoczeniu do Związku zaczęli się nagle zapisywać urzędnicy średniej i wyższej administracji. Jakby się zmówili. Co gorsza, prawie wszyscy należeli do Partii. Przełknęliśmy tą gorzką pigułkę, bo nie można było im zabronić. Był to związek zawodowy i należeć mógł do niego każdy, niezależnie od przekonania i koloru skóry. ale wiedzieliśmy, że Komitet Wojewódzki polecił członkom Partii, aby wstępowali do Związku, i w miarę możliwości przenikali do władz.

Zbliżały się wybory najniższego szczebla, do komisji zakładowych. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dyrektorzy miękli. To, co się nam należało, zostało wspaniałomyślnie przyznane. Remontowano nowe pomieszczenia, meblowano je, mogliśmy już bezpłatnie korzystać z telefonów i teleksów, dostęp do kopiarki przestał być problemem, w Gdyni mogliśmy korzystać nawet z zakładowej drukarni, droga do swobodnej, wewnętrznej informacji stała otworem. Świadczenia socjalne przestały być domeną CRZZ.

Drugiego października otrzymałem pismo z kadr, że zostałem oddelegowany do pracy związkowej z dniem ... pierwszego września! Wstecznie! Rozwiązano też częściowo nasze kłopoty finansowe.

Traktowałem jednak ten stan jak przejściowy, do czasu ukonstytuowania się Związku.

Wtedy powiemy im, dziękujemy za wszystko, teraz radzimy sobie sami. Jesteśmy przecież niezależni i samorządni. Uważałem, że fałszywe ukłony w stronę przeciwnika były zbyt częste.

Mogliśmy wreszcie zająć się porządkowaniem naszego podwórka. Po pierwsze, lista rezerwy, czyli kolejność okrętowania marynarzy. Gdyby dział kadr przestrzegał prostej zasady, że zgłaszający marynarz wpisywany jest na końcu listy, i w miarę okrętowania innych przesuwa się w górę, nie byłoby żadnego problemu. O zaokrętowaniu decydowały jednak łapówki, polecenia SB, polityka represyjna, humor urzędnika, przynależność do Partii, zajmowane funkcje i wreszcie inne czynniki "zewnętrzne". Sama lista nie była podawana do publicznej wiadomości.

Właściwie nikt nie sprzeciwił się, gdy poprosiliśmy w kadrach o przestrzeganie kolejności i wywieszenie listy na tablicy ogłoszeń. Ale zapytano: - co z członkami Partii? Na statku musi być komórka partyjna licząca co najmniej pięć osób. Takie jest porozumienie z Komitetem Zakładowym Partii.

Rozwiązanie tego problemu scedowano, oczywiście na nas, zakładając, że nie poradzimy sobie.

Zadzwoiłem do Bolesława Hutyry, że w tej sprawie wybieram się do Gdyni.

I oficer, Bolesław Hutyra miał jedno marzenie, upadek komunizmu i postanowił przyczynić się do tego. Niewysoki, stanowczy, o wybitnej inteligencji, o dobrym sercu. Obaj rozumieliśmy, że nie ma czasu na dyplomację, i trzeba robić co się da.

Udaliśmy się do Komitetu Zakładowego PZPR

Towarzysz sekretarz wysłuchał nas, ze wszystkim się zgadzał, zastrzegł tylko, że komórka partyjna musi istnieć na statku, bo takie są odgórne ustalenia, których nie zmienia się na szczeblu zakładowym. Widziałem, że wszystko się w nim gotuje. Pot wystąpił mu na czoło. On, sekretarz, musi rozmawiać z takimi jak my, a jeszcze dwa miesiące wcześniej wystarczyłby jeden telefon do SB. To jest atak na jego partię! Zamach stanu! Poprawił się pańsko na fotelu, z udawaną niedbałością i złośliwym uśmiechem wypalił:

- Zapomnieliście panowie, że delegat związkowy też okrętuje poza kolejnością. To jak będzie? - W jego głosie brzmiała nuta triumfu. Odpowiedziałem:

Okrętował. To jest czas przeszły. Jeżeli zejdzie ze statku, załoga wybierze nowego. Delegat nie jest inwentarzem stałym. Chyba podobna rzecz będzie się miała z sekretarzem Partii? Partyjni też muszą czekać w kolejce. Jak będzie ich pięciu, to utworzą sobie kółko, a jak nie, to trudno.

Dalsza rozmowa była zbyt częsta.

Z czasem odstąpiono oficjalnie od okrętowania członków Partii poza kolejnością, zaniechano szkoleń politycznych, zlikwidowano książkę trapową (obowiązkowa ewidencja osób odwiedzających statek w portach polskich i zagranicznych), zaniechano czynów i zobowiązań.

PLO były pierwszym w Polsce przedsiębiorstwem, w którym złamana została nomenklatura partyjna, co prawda tylko na statkach, ale był to sukces nieprawdopodobny jak na owe dni.